

Powstanie Warszawskie w grafikach Andrzeja Kowalczyka

W Muzeum Częstochońskim mieszczącym się w Ratuszu odbyło się 1 sierpnia 2014 roku otwarcie wystawy „Miejsca postoju - Powstanie Warszawskie w grafikach Andrzeja Kowalczyka”. 26 lat wcześniej, w roku 1988, artysta pokazał te same grafiki w Muzeum Polskim na zamku w Rapperswilu (Szwajcaria) w wystawie pt. "Droga krzyżowa". Napisałam wtedy recenzję z tej wystawy do polskiego pisma polonijnego. W recenzji nie ma wzmianki o tym, czy decyzja o wybuchu Powstania była słuszna, czy też nie, Powstanie jest faktem dokonany a obrona Warszawy była bez wątpienia aktem najwyższej odwagi, więc bez względu na to, jak historia ocenia samą decyzję, powstańcy i mieszkańcy Warszawy byli bohaterami. Jest coraz więcej literatury na ten temat z różnymi opiniami. Ze swej strony mogę polecić książkę byłego powstańca profesora historii Jana Ciechanowskiego analizującą podłoże dyplomatyczne i polityczne Powstania oraz wywiad Pawła Dybicz z profesorem w "Przeglądzie" z roku 2013, sądzę jednak, że dla pełniejszego obrazu warto zapoznać się także z innymi analizami i poglądami.

Gdyby od końca drugiej wojny światowej dzień w dzień poświęcić 15 minut ciszy 15-tu ofiarom tej wojny, to - odliczywszy 43 lata, które już minęły [w roku 1988], co akurat wystarczyłoby na żałobę po dwustu tysiącach poległych w Powstaniu Warszawskim [1] - trzeba by jeszcze dokładnie dziesięciu tysięcy lat, żeby oddać pięćdziesięciu pięciu milionom (55 000 000) zamordowanych, bo każda z tych śmierci osobno, to morderstwo - tego rodzaju hołd!

Nikt nie jest w stanie ogarnąć wyobraźnią śmierci powielonej miliony, miliony razy. Nikt nie umiałby uzmysłowić sobie czasu - dzień po dniu - wyrażonego cyfrą: 100 wieków... Mniej więcej w ósmym tysiącleciu przed naszą erą - czyli od teraz przed dziesięcioma tysiącami lat - plemiona koczownicze zaczęły uprawiać ziemię. Był to początek procesu, który trwa do dzisiaj, CYWILIZACJI. Człowiek się przez wieki ucywilizowywał, stawał się coraz genialniejszy, opanowywał świat, tworzył kulturę... I prowadził wojny. Aż w końcu doszedł w swoim rozwoju do takiej doskonałości, że w ciągu śmiesznych pięciu lat już potrafił unicestwić pięćdziesiąt pięć milionów istnień ludzkich, wydać na zbrojenia jeden bilion sto pięćdziesiąt cztery miliardy dolarów (1 154 000 000 000 \$) oraz dokonać zniszczeń oszacowanych na dwieście sześćdziesiąt miliardów dolarów (260 000 000 000 \$). Ile w tej sumie kosztowała Warszawa? Do sierpnia 1944 roku milionowe miasto, założone w średniowieczu i budowane przez pokolenia - bezcenne?

Jeżeli w moich rozważaniach posługuję się danymi statystycznymi, to tylko dlatego, że jedynie liczby mogą sprostować sytuację, w której człowiek - sprawca tego wszystkiego - zawodzi. Ale jeśli nawet nie starczy nam wyobraźni na cyfrę 55 milionów człowiek po człowieku, to co najmniej możemy się przerazić. I to przerażenie powinno nam towarzyszyć zawsze. ZAWSZE! Zawsze - od momentu zapoznania się z bilansem drugiej wojny światowej, zawsze - od momentu zetknięcia się z historią - i zawsze - od momentu uświadomienia sobie czasów, w jakich żyjemy, naszej teraźniejszości. To jedyna nasza szansa. Tylko ta świadomość - nieustanna i drążąca - może pomóc ludzkości w przetrwaniu. Musi to przeniknąć do każdego umysłu, bo przecież już tylko w ciągu tych czterdziestu kilku lat od tamtej wojny odbyło się na świecie ponad czterysta (400) innych wojen. Niektóre z nich ciągle trwają... [w roku 2014 wojny z roku 1988 przeszły do historii, ale w kolejnych latach wybuchały i wybuchały nowe]. A zniszczyć to my się możemy, w porównaniu z tamtymi pięcioma latami, dosłownie w mgnieniu oka. I żeby łatwiej było liczyć (tylko komu?), wprowadzono udoskonalenie: jeden milion trupów - to jeden "megacorpse", czyli po naszymu jedno "duże zwłoki". Jakże to było proste: ofiarą Hitlera padło sześć jednostek Żydów - niechże mi te niezliczone zastępy pomordowanych, błakających się po wieczne czasy w nicości, w żydowskim *szeolu*, wybaczą to porównanie - jak sześć jabłek! Czyż to nie jest postęp?

Takie i tym podobne refleksje wywołała we mnie wystawa grafik krakowskiego artysty Andrzeja Kowalczyka pt.: "Droga krzyżowa", która odbyła się w Rapperswilu w kwietniu i maju tego /1988/ roku. Andrzej Kowalczyk wypowiada swoją sztuką wojnę wojnie. Treścią jego grafik jest Powstanie Warszawskie, ale nie to widziane w

relacjach heroiczych, żeby nie powiedzieć, romantycznych. Nie obraz Powstania wyrażany wzniosłymi słowami w rodzaju "tragedia narodowa", lub "bohatera obrona stolicy", ale obrazy poszczególnych, pojedynczych losów ludzi, którym przyszło żyć i umierać - i umrzeć - właśnie tam i wtedy [4]. Większość postaci, które Kowalczyk przedstawia w swoim *widzeniu artystycznym* Powstania, to ludzie już nieżyjący. Trupy. I to często w którymś już stadium rozkładu. Oraz ludzie idący na śmierć. Ci, którzy wkrótce mieli stać się trupami. *Morituri!* I co jest najbardziej wstrząsające w pracach Kowalczyka, to fakt, że powstały one na podstawie autentycznych zdjęć, których fragmenty artysta komponuje wprawdzie w dowolne całości powodując się wyobraźnią twórczą, ale które są fotografiami dokumentalnymi. A więc są to podobizny ludzi, którzy istnieli naprawdę. I choć ich nie ma, to jednak cienie ich zostały i trwają, przenoszone ze zdjęć w grafikę. Powiększane, powtarzane, przeinaczane i wystawiane w różnych miejscach świata.

"Ciemna, długa sień kończyła się rozświetlonym prostokątem podwórka. Wyszliśmy nań nagle oślepieni blaskiem. Uderzył nas przeraźliwy, nieznośny zaduch.

Jak okiem sięgnąć czworobok podwórka zalegały trupy. Leżały w pełnym słońcu, jedne skłębione pośrodku grupy, niektóre opodal rozciągnięte obok siebie, inne pojedynczo na skraju podwórza z wyciągniętymi rękami w kierunku muru, jakby w ostatniej rozpaczliwej próbie ratunku.

Musiano tu do spędzonych na dziedzińcu i ściśnionych w tłumie rzucać granatami, bo splątane kłęby ciał zmasakrowane były straszliwie, a podwórko w tych miejscach pełne było wyrw i dołów. Inni z tłumy, których śmierć nie dosięgła zaraz, leżeli porozrzućani w nieładzie, skuleni strachem czy też bólem, to znów wyprostowani nienaturalnie jakimś ostatnim rozkurczem mięśni.

Mury podwórza poopryskiwane były od serii wystrzałów, tu i ówdzie leżały pogubione drobiazgi, walające się pęki kluczy, porozrywane teczki, chlebaki, rozrzucone bibułki, kawałki chleba wdeptane w ziemię, czapki, berety. Tego masowego mordy musiano dokonać parę dni temu, bo sierpniowe słońce swoim żarem wzdęło już ciała. Tysiące niebieskich tłustych much opadło rojami na czarne plamy skrzepłej krwi, na krwawe dziury ran, na oczy otwarte śmiercią.

Staliśmy wpatrzeni, nie mogąc mówić ani oddychać powietrzem gęstym jak cuchnąca galareta, rozedrganym brzęczeniem tysięcy much. Opanowała nas groza i zwierzęce obrzydzenie. /.../

Staliśmy w bezruchu. Ani jedna głowa nie odchyliła się, czy też nie zadrżała, baliśmy się spojrzeć sobie w oczy, baliśmy się własnego strachu odbitego na twarzy, graniczącego z szaleństwem.

Gwałtowny szloch, niepowstrzymany, spazmatyczny rozerwał ciszę. Odwróciliśmy się. To płakał inżynier, jak dziecko, nie zasłaniając nawet twarzy.

- Ludzie, ludzie, nie sprzątajcie ich - wyrzucał słowa przerywane szlochem - proszę was, nie róbcie tego. Zostawcie ich, niech leżą. Przecież wojna się kończy, trzeba ich tu zostawić, niech inni zobaczą, niech widzą. Nie wolno ich ruszać, rozumiecie?! - Poderwał się raptem z energią. - Muszą tu leżeć! Przyprawdzimy tu ludzi z całego świata, niech zobaczą!" [2]

Powstanie Warszawskie po kilku wstępnych dniach walk zaczepnych było przez całe dwa miesiące swojego trwania aż do kapitulacji wycofywaniem się. Niemcy byli nieporównanie lepiej uzbrojeni, nie mówiąc o tym, że liczniejsi. Z dziesięciu tysięcy powstańców uzbrojonych było zaledwie dziesięć procent na parę dni walki. Niemców było wtedy w Warszawie pięćdziesiąt tysięcy, a uzbrojeni byli po zęby [3]. Już 5 sierpnia wojska niemieckie zajęły Wolę i dokonały pacyfikacji tej dzielnicy, w wyniku której około pięćdziesięciu tysięcy ludności cywilnej zostało rozstrzelanych. Usunięciem pięćdziesięciu tysięcy trupów zajęło się tzw. (przez Niemców) "Verbrennungskommando" składające się z grupy SS-manów i około pięćdziesięciu wziętych do niewoli mężczyzn, mieszkańców Woli. Trzech z nich przedostało się po pewnym czasie na stronę powstańców. Jeden z nich, Tadeusz

Klimaszewski, jest autorem unikalnej relacji opisującej zbrodnie hitlerowskie dokonane na mieszkańcach Woli.

"Verbrennungskommando" miało za zadanie palenie zwłok zamordowanych. Usuwanie śladów. Klimaszewski - wtedy dziewiętnastoletni chłopak - opisał po wojnie jak to się odbywało w książce pt.: "Verbrennungskommando Warschau", której fragment przytoczyłam powyżej.

Oczywiście trupy z tamtego podwórka zostały przez Verbrennungskommando sprzątnięte, a inżynier za swoje zachowanie rozstrzelany. Inspiracją do działania artystycznego Kowalczyka jest między innymi właśnie książka Klimaszewskiego. Andrzej Kowalczyk poniekąd spełnia wolę inżyniera. Nie ma w grafikach Kowalczyka, ani nawet w cyklach grafik, właściwie żadnej akcji, żadnej treści, żadnego ciągu wydarzeń. Nie ma walk, nie ma scen rozstrzeliwań, nie ma zresztą w ogóle elementów wojny: broni, czołgów, przeciwnika... Są trupy, ruiny, porozwalane przedmioty, a wśród tego wszystkiego żywi - jeszcze - ludzie. Beznadziejnie udręczeni, bezsilni, w jakiejś - wydawałoby się - obojętnej rezygnacji, która zatrzymana została na klatkach filmowych i trwa do dzisiaj, i będzie trwała. Może właśnie dlatego Kowalczyk nazywa całe serie swoich dzieł "Miejscem postoju" i numeruje je tylko.

Przytoczę jeszcze jeden cytat z książki Klimaszewskiego, tym razem jednak z pominięciem drastycznych opisów:

"...Zatrzymaliśmy się w bezruchu, sparaliżowani tym widokiem. Uczucie, które nami owładnęło, nie mieściło się już w nienawiści do wroga, wściekłości, czy też buntu przed bezprawiem. W okupacyjnej Warszawie wszystko to było chlebem powszednim. Gdzieś głęboko w mózgu rodziło się przerażenie przed człowiekiem."

Sztuka Andrzeja Kowalczyka jest wstrząsająca, ostrzega przed człowiekiem. Ukazywanie obrazów z pacyfikacji Woli jest tylko pretekstem do ukazania losu wszystkich pomordowanych we wszystkich wojnach świata.

*

Andrzej Kowalczyk urodził się 22 lutego 1951 roku w Krakowie. Tam ukończył Wydział Grafiki na Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom uzyskał w roku 1975 w Pracowni Miedziorytu u prof. Mieczysława Wejmana. Tematem jego akwafort jest Powstanie Warszawskie widziane bez patosu. Brał udział w wielu wystawach w kraju i za granicą. Jest laureatem wielu krajowych i międzynarodowych nagród. Od 1973 roku był redaktorem graficznym w tygodniku "Przekrój".